

wysokie obcasy

SOBOTA 26 LISTOPADA 2011
NR 47 (650)

wysokieobcasy.pl

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej”. Sprzedaj łącznie z „Gazetą”

Czy normalna
kobieta może
mieć białe
zęby?

STRONA 26

Ameryka
odkrywa
kołderkę

STRONA 30

gazeta

SYLWIA
GRUCHAŁA

PORZUCONA,
PRZERZUCANA,
PODRZUCANA

NIE MA JUŻ DZIKIEJ DZICZY

Z architektem
Fritzem Haegiem
rozmawia **Grzegorz
Piątek**
Zdjęcia **Fritz Haeg**



Animal Estates to architektura
dla zwierząt, która ma
stworzyć dla nich miejsce
we współczesnym świecie

Projekty, które teraz realizują – te związane z uprawą żywności i z budową architektury dla zwierząt – nie powstały z poczucia obowiązku czy odpowiedzialności, ale dlatego, że dostarczają radości

Mówisz, że dzika przyroda już nie istnieje.

Jeśli dzikie jest to, na co nie ma wpływu człowiek, to nie ma już nic naprawdę dzikiego. Nawet to, co wydaje się jeszcze dzikie, reaguje na to, co zmieniają ludzie - powietrze, woda, gleba, hałas, światło, migracje. Nie ma już naprawdę dzikiej dzicy. **Jedynie, co nam pozostaje, to nauczyć się wpływać na naturę w dobroczynny dla niej sposób?**

Wszyscy mieszkańcy miast - czyli w tej chwili ponad połowa ludzkości - powinni zacząć myśleć nad przywróceniem w miastach elementów dzikości, którą wcześniej z nich wymazali. Powinniśmy się skupić na wprojektowaniu przyrody w miasto i sprawdzić, co się stanie, gdy poluzujemy swój żelazny uścisk.

Ekoaktywiści często bazują na poczuciu winy, ty wolisz skupiać się na przyjemności.

Wierzę, że ludzi bardziej motywuje przyjemność niż wyrzuty sumienia. Wiem, że dzieciaki angażują się w moje ogrodnicze projekty dla zabawy, a nie dlatego, że uwielbiają warzywa albo martwią się globalnym ociepleniem. Projekty, które teraz realizuję - te związane z uprawą żywności i z budową architektury dla zwierząt - nie powstały z poczucia obowiązku czy odpowiedzialności, ale dlatego, że dostarczają radości. Zatracam się w pracy w ogrodzie i daje mi to taki rodzaj przyjemności, który chyba zagubiliśmy we współczesnym społeczeństwie, w którym przyjemność zaspokajają się głównie przez kupowanie.

No i przyjemność musi być natychmiastowa...

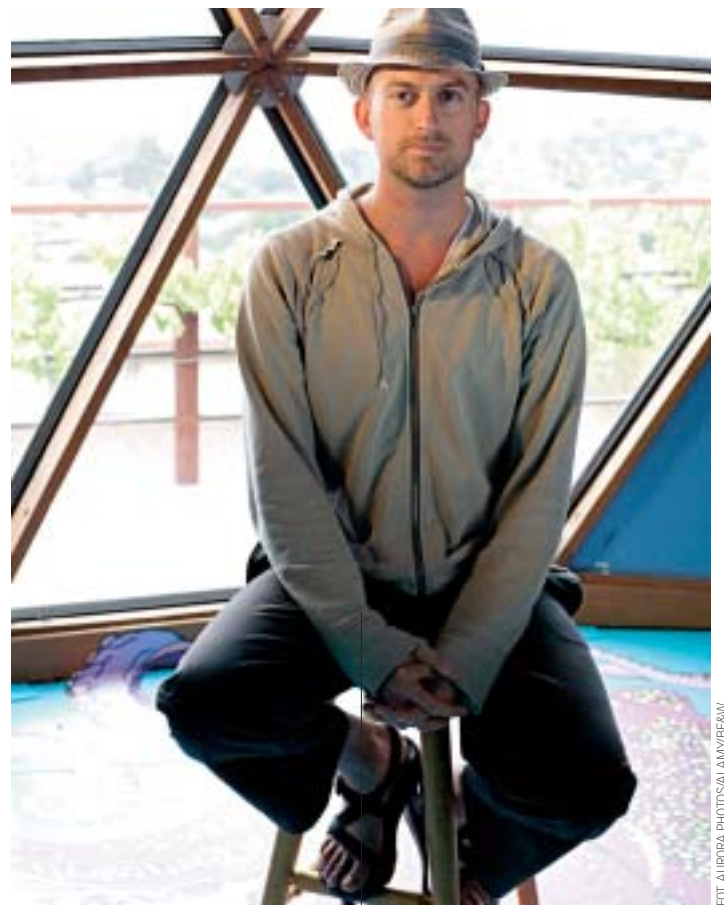
Natychmiastowa i kupiona. Jedną z zasad marketingu jest sprzeda-

wać tak, by do końca nie zaspokoić głodu, by trzeba było wciąż wracać i znów coś kupować. A mnie interesują przyjemności dostępne poza systemem kupna i sprzedaży.

Gdy w ramach projektu Edible Estates (jadalne włości) zamieniłeś trawnik na ogród warzywny, pokazywano go w amerykańskich dziennikach telewizyjnych. Niektórzy widzieli w nim atak na wypielegnowane trawniki przed domkami na przedmieściach, na coś arcyamerykańskiego. Rzucasz wyzwanie american dream?

Idea amerykańskiego przedmieścia oparta jest na złudzeniu, że można mieć to, co najlepsze w miejskim życiu, i to, co najlepsze w wiejskim życiu, bez żadnych poświęceń. Co oczywiście kończy się jednym wielkim kompromisem, rozcieńczoną, żalną wersją i miasta, i wsi. To nie jest już wieś, ale nie jest to też prawdziwe, vitalne miasto. Zaczęło się od marzenia o kontroli, o dominacji, o niezależności, a skończyło się bladym cieniem amerykańskiego snu.

Ale teraz w Ameryce wielu ludzi pyta, czym powinien być nowy



FOT. AURORA PHOTOS/ALAMY/BE&W

amerykański sen, czego naprawdę chcemy, po co pracujemy. Czy ha-
rujemy cały dzień po to tylko, by
spędzić potem dwie godziny w kor-
ku i pięć godzin przed telewizorem,
po to, by kupować masę nowych
rzeczy, których nie potrzebujemy,
które prędzej czy później powyrzu-
camy? Sądzę, że po doświadczeniu
tego przez kilka pokoleń zaczęliśmy
być świadomi ograniczeń.

**Jak opisałbyś swoją wersję ame-
rykańskiego stylu życia?**

Myślę, że moja propozycja ame-
rykańskiego stylu życia czy nowej
fantazji na temat miejskiego życia
może się wydawać trochę staro-
świecka. Ale nie jest.

Nie chodzi o nostalgję?

Nie. Skoro już mamy te suburbia,
nie udawajmy, że nigdy nie powsta-
ły, tylko sobie z nimi poradźmy. Nie
jestem na nie, tylko pytam: dotąd do-
szliśmy? Tak urządziliśmy świat i co
dalej? Nie cofam zegara - przeciwnie,
traktuję nowoczesną, przemys-
łową, zglobalizowaną rzeczywistość
jako daną. W tym jest esencja mo-
ich projektów - ostry kontrast mię-
dzy zwierzętami i ogrodami a nie-
powstrzymaną globalną siłą rynku,
przemysłu i miasta. Gniazdo na
szczybie wieżowca czy warzywna
grządka mogą się w porównaniu
z jej ogromem wydawać naprawdę
żałosne. To jest istotny moment,
moment prawdy w mojej pracy - kie-
dy widzisz w nich jednocześnie na-
dzieję i beznadzieję, a oba te uczucia
są tak samo uzasadnione.

Na przykład kiedy?

Na przykład kiedy w środku mia-
sta robimy domek dla dzikiego ga-
tunku, który jest na wyginieciu. Nie-
którzy ludzie ekscytują się: co za fan-
tastyczny, pełen nadziei projekt o ra-
towaniu planety! Ale prawdą jest też,
że jest coś beznadziejnie smutnego
w małej drewnianej skrzynce dla
zwierzęcia, które być może wcale
nie będzie w wielkim mieście szczę-
śliwe i umrze tam w samotności. Pa-
trząc na grządkę, także można krzyk-
nąć: jakie to miłe, wszyscy zacznij-
my uprawiać warzywa, to uratujemy
Ziemię! Ale prawda jest też taka,
że nikt nie ma na to czasu i może nikt
nie pójdzie za tym przykładem.

**Łatwo wziąć cię za misjonarza.
Zwłaszcza że nie masz telefonu
komórkowego...**

To proste. Pozbyłem się amery-
kańskiej komórki, kiedy wyjeżdża-
łem na dłuższy czas do Rzymu. Tes-
tuję też, jak długo mogę funkcjono-
wać bez niej, i na razie codziennie
bez problemu odkładam jej zakup.
Myślę, że będę musiał znów mieć te-
lefon, ale to będzie świadoma decy-
zja. Ważę wszystkie za i przeciw, bo uwa-
żam, że jest bardzo ważne, by nie
wkręcać się w technologię bezmyśl-
nie, tylko korzystać z niej na własnych
zasadach. Jestem też weganinem,
ale - tak jak z sadzeniem warzyw -
nie z poczucia winy, tylko dla przyjem-
ności, po prostu lepiej się czuję.

Załóżę się, że wielu ludzi ocenia
moje wybory jako ekstremalne, ale
przecież każdy zakreśla granice. Je-
śli na przykład rezygnujesz z fast
foodu, też je zakreślasz. Żyjemy
w społeczeństwie, w którym wiele
zachowań przedstawia nam się ja-
ko oczywiste, niepodlegające decy-
zji. Myślę, że można robić wszystko,
ale w wyniku decyzji, ze świadom-
ością skutków.

**Można oskarżyć cię o lansowanie
elitarnego stylu życia, na który
czasowo czy finansowo może so-
bie pozwolić niewielu.**

Rozumiem. Podobny problem
jest z ruchem slow food. Wierzę
w to, że trzeba uważać, skąd pocho-
dzi jedzenie, jak się je przyrządza,
wierzę w kultywowanie lokalnych
zwyczajów, w sezonowe produkty.
Ale w Ameryce społeczeństwo jest
hiperekstremistyczne. Jeśli chodzi
o jedzenie, po jednej stronie masz
tanie śmieciowe żarcie, od którego
można się rozchorować, przemys-
łową paszę, która pozwala przeżyć,
dostarcza tylko paliwa, choć truje.
Mamy nawet food deserts - całe
dzielnice i miasta, w których nie ma
dostępu do prawdziwego, świeżego
jedzenia. Na drugim biegunie jest
sfetyzyczny, superdrogie, sezo-
nowe organiczne jedzenie, na które
większość nie może sobie pozwolić,
zarezerwowane raczej na specjalne
okazje, pokazywane w szalenie wy-
estetyzowany sposób. Oba ekstre-
ma są problematyczne, ponieważ



**1 3 Edible Estates to trawniki
zamieniane w ogródki
warzywne. Przypominają
„victory gardens” – ogródki
zakładane w całej Ameryce
podczas wojny. Teraz, w związku
z kryzysem, warzywniki są
w Stanach coraz popularniejsze
także z powodów
ekonomicznych**

**2 Nowojorskie domki
dla ptaków to jedna z realizacji
projektu Animal Estates**

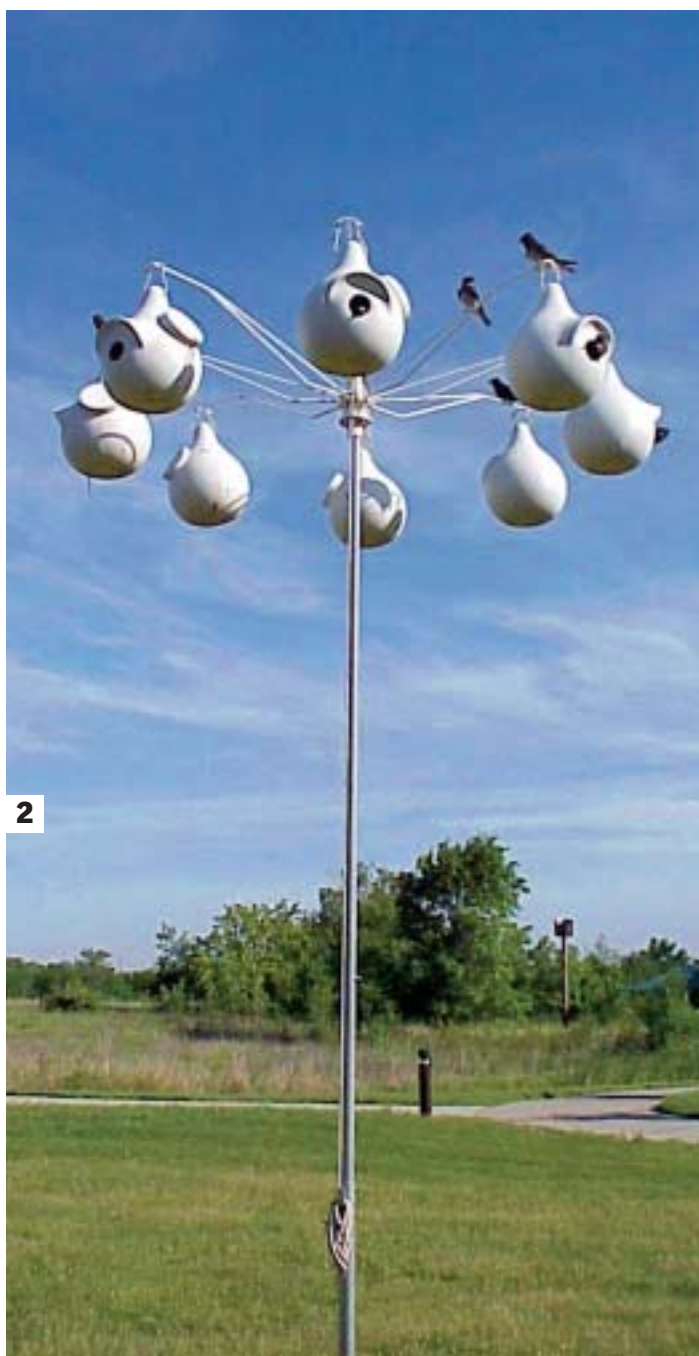


nie dają nam tego, czego potrzebu-
jemy - codziennego, przyjemnego,
zdrowego, zmysłowego jedzenia.
Gdzie jest środek?

Pracuję teraz nad książką „Rome
Eats Rome” („Rzym je Rzym”),
w której przepytuję pięć pokoleń
Rzymian: jak gotują, co jedzą, skąd
biorą jedzenie? Jedzenie pozwala
zrozumieć szersze problemy. We
Włoszech cała wspinała tra-



1



2



3

dycja nie jest fetyszyzowana, jest dla wielu ludzi po prostu częścią życia. We współczesnym Rzymie ta głęboka, wyrafinowana, a jednak jeszcze nieelitarna kultura kulinarna współistnieje ramie w ramie z przemysłowym jedzeniem. W Stanach nie mieliśmy tak wspaniałej tradycji do stracenia, gdy wkroczył przemysł. We Włoszech do stracenia jest jeszcze wiele, więc trzeba się

temu przyjrzeć. Codzienne posiłki Włochów, w których chodzi o przyjemność, o bycie razem, rozmowę, łączące z rytmem pór roku i ziemią, na której się żyje, nie są superegzytacyjne ani drogie, ale nie są też bezmyślne i tanie, są akurat pośrodku. **W porównaniu z potęgą branży spożywczej twoje projekty wydają się zupełnie nieznaczące. Jeden ogródek warzywny nie**

zmieni gospodarki czy sposobu, w jaki mamy myśleć o jedzeniu.

Tak, Edible Estates są mikroskopijskie i większość ludzi, którzy się ze mną kontaktują, nigdy ich nie widziała w naturze, tylko w mediach.

W przeciwieństwie do większości architektów nie wydajesz się przejmować oryginalnością. Chodzi mi zarówno o kopiowanie two-

ich projektów, jak i o używanie przez ciebie gotowych elementów.

Myślę, że trzeba zmienić pojęcie nowatorstwa. W Animal Estates używam jako prototypów gotowych, standardowych domków dla ptaków. Jeśli opanujesz nimi kawałek miasta i ludzie zaczną się nimi posługiwać na różne sposoby, to zyskają wtedy dodatkową wartość. Ich nowatorstwo nie odnosi się już do tego, jak wyglądają, ale w jaką relację wchodzi z otoczeniem.

Podobno Edible Estates zainspirowały mera Londynu do zorganizowania konkursu na miejskie uprawy. Czy nigdy nie przychodzi ci do głowy, że teraz, gdy ekologia jest wdzięcznym tematem, twoje pomysły mogą być wykorzystywane dla rozgłosu czy marketingu politycznego?

Myślę, że politycy mogą robić o wiele straszniejsze rzeczy niż uprawianie warzyw. Jeśli chcą się włączyć - proszę bardzo.

Chwaliłeś Michelle Obamę, kiedy założyła warzywnik przy Białym Domu.

Tak! Widać go z ulicy, jest naprawdę świetny. Mają nawet ule i pszczoły latają sobie nad słynnym trawnikiem. Ten ogródek miał ogromne znaczenie. Kiedy prezydent USA i jego żona zaczynają uprawiać żywność przed swoim domem, to nagle staje się to poważnym zajęciem.

Nie sądzę, że zrobili to dla PR-u, bo Obama był już po wyborach, a ogródek nie miał nic wspólnego z wielkimi sprawami, którymi wtedy zajmowali się politycy. Wydali 200 dolarów, personel kuchenny zasadził rośliny razem z dziećmi, i tyle. I wcale nie robili z tego wielkiego halo, chociaż media to podchwyciły. Myślę, że zrobili więcej dla popularyzacji ogrodnictwa niż dla autopromocji.

Ale nadal wiele jest do zrobienia.

Tak, i powodów jest wiele. Pracuję czasem z Willem Allenem, bardzo znanym miejskim farmerem, którym interesują się też państwo Obama. Od lat uprawia jedzenie w mieście w Milwaukee, jest Afroamerykaninem. Ale wielu innych Afroamerykanów pyta: „Dlaczego

mamy znów grzebać w ziemi? Czy nie od tego uciekaliśmy?”. Mają tak silne skojarzenie z niewolnictwem, z plantacjami. Ogrodnictwo to uniwersalne zajęcie, ale skojarzenia, jakie budzą rolnictwo, jedzenie, praca fizyczna, mogą być bardzo różne. **W Polsce dwa pokolenia temu 70 proc. ludzi żyło na wsi. Sądę, że nasze świeżo zurbanizowane społeczeństwo też trudno byłoby przekonać.**

To zupełnie zrozumiałe! **W projekcie Animal Estates proponujesz architekturę dla zwierząt, która pozwoli znaleźć dla nich więcej miejsca we współczesnym mieście. Czy też jest odbierany jako krok wstecz?**

W miastach zwierzęta dzielimy tylko na dwie kategorie - albo udomowione maleństwa, które traktujemy prawie jak ludzi, albo szkodniki, które należy wybić. Pomiędzy nie ma prawie nic. Ale okazuje się, że Animal Estates działają ludziom na wyobraźnię, ponieważ uświadamiają, jak wyglądał świat, zanim rozrosły się miasta.

W Nowym Jorku para myszów uwiła sobie kiedyś gniazdo na apartamentowcu. Co jakiś czas trafiały na czołówki gazet - gdy nie wykluły się małe albo wspólnota mieszkaniowa chciała wyrzucić gniazdo. Cały Nowy Jork chciał wiedzieć, co u nich słychać, bo nagle w środku miasta rozgrywała się historia przypominająca o prawdziwej, o rzeczywistości, od której się odizolowaliśmy i która stała się dla nas niewidoczna. Gdy w naszym życiu pojawiają się dzikie zwierzęta, stajemy się bardziej żywi.

I Edible Estates, i warzywnik Obamów porównuje się do „victory gardens” – ogródków, które zakładano w całej Ameryce podczas wojny, gdy gospodarka przestała się na zaopatrzenie wojska i brakowało jedzenia. Czy teraz, gdy w Ameryce jest kryzys, przydomowe warzywniki powrócą?

To już się dzieje. Ludzie uprawiają jadalne rośliny w miastach nie dlatego, że to jest modne albo czują romantyczny zew ziemi, ale z prostych, ekonomicznych powodów.

A nie obawiasz się, że tak jak po wojnie wszyscy ci ludzie wrócą do sklepów, jak tylko powróci dobrobyt?

Nie obawiam się, bo nie prowadzę żadnej krucjaty. Pomogłem założyć po prostu parę ogrodów. To ciekawe, że doszliśmy do punktu, w którym ogródki mogą okazać się niemile widziane, że uprawianie roślin jadalnych bywa uważane za groźne, wywrotowe albo brzydkie. Frapują mnie konflikty i problemy, które generuje założenie niewinnego przydomowego ogródka. Komu się to podoba, komu nie i dlaczego - to zawsze odsłania coś więcej. Na przykład gdy ludzie mówią, że gleba w ich okolicy jest zbyt skażona, by jeść to, co z niej wyrośnie, odpowiadam: „Doprawdy? To może trzeba zacząć pytać, dlaczego jest skażona? Może trzeba coś z tym skażeniem zrobić?”. Wtedy te ogrodnicze projekty robią się naprawdę ciekawe. Jeśli spojrzysz na Edible Estates jak na projekt artystyczny, on jest najmniej o samych ogródku.

No właśnie, raz mówi się o tobie jako o artyście, raz jako o architekcie, ale parę lat temu porzuciłeś „prawdziwą” architekturę. Twierdzisz, że się znużyłeś.

Architekt zwykle pracuje z klientem, który ma dużo pieniędzy i chce je wydać na rozwiązanie problemu, który on uważa za istotny. Inne problemy, które chciałbyś rozważyć, możesz sobie rozważać, ale po pracy, i ewentualnie przemycić w projekcie. Ekonomia architektury jest dość brutalna. Opiera się na rozwiązywaniu zadań, które tylko 1 proc. społeczeństwa uważa za istotne, a 99 proc. niekoniecznie. Oczywiście generalizuję, ale zwykle jest to prawda. Budynki kosztują taką fortunę, że nie pozostaje wiele miejsca na eksperymenty, na radykalne myśli albo na to, by dać głos szerszemu gronu ludzi, by poczuli, że mają wpływ na to, jakie miasto powstaje dla nich. A projekty, które teraz robię, mają być może skandalicznie małą skalę, ale przynajmniej każdy może sobie wyobrazić, że też zrobi jutro coś takiego i zacznie jakoś uczestniczyć w tworzeniu miasta.

Wielu Afroamerykanów pyta: dlaczego mamy znów grzebać w ziemi? Czy nie od tego uciekaliśmy?

Teraz wchodzę w bardziej złożone relacje z ludźmi i z czasem niż wtedy, gdy robiłem „prawdziwą” architekturę.

O co chodzi z tym czasem?

Architekt planuje daleko naprzód. Potem temu czemuś nadaje kształt ktoś inny, często pod twoją nieobecność. A potem jest już gotowe, koniec, po projekcie. Pierwszego dnia może jest i doskonale - wszystko zgodnie z projektem, ale potem z każdym dniem jest coraz mniej perfekcyjnie. Ludzie, którzy używają budynku, dostosowują go do siebie. Krótko mówiąc, ludzie, dla których projektujesz, i tak ci wszystko zrujnują (*śmiech*). I oczywiście znów generalizuję, ale w klasycznym modelu architektury nowoczesnej ludzie, dla których powstaje budynek, są wrogami architekta, bo niszczą doskonałą wizję, którą dla nich tworzy. Myślę, że to prawdziwa tragedia, że jesteśmy tak wrocy wobec ludzi, dla których teoretycznie tworzymy. Sęk w tym, że zwykle nie mają oni nic do powiedzenia od początku, dopiero na koniec przychodzą i próbują jakoś ogarnąć coś, co zostało ukształtowane, zanim się zjawili, przez kogoś, kogo oni nie obchodzą.

Czy ciągle uważasz się za architekta?

Nie... ja tylko używam podstawowych narzędzi architekta. Nadal uważam, że studia architektoniczne są najpiękniejszym, najgłębszym, najbardziej uniwersalnym wykształceniem, jakie można odebrać. Architekci mają rzadki potencjał łączenia w relacje bardzo różnych rzeczy i bardzo różnych ludzi. I kiedy zajmują się tylko stawianiem budynków, to jest to ogromna strata tego wykształcenia. Jest tyle innych aspektów naszego otoczenia poza budynkami... Ale ponieważ to budynki mają największą wartość ekonomiczną, to właśnie nimi zajmują się architekci.

Ten okropny obraz architektury, który tu maluję, nie musi być już do końca aktualny. Na pewno był prawdziwy na przełomie lat 80. i 90., kiedy zaczynałem jako architekt. Architekci byli wtedy zainteresowani wyłącznie stylem i teorią. Teraz chyba jest lepiej. Akcent przesuwa się od pustego formalizmu do autentycznego zaangażowania w życie.

Czy kiedykolwiek budzisz się w nocy z myślą, że powinieneś jednak znów projektować budynki?

Jest jakiś dreszczyk w projektowaniu, a potem w patrzeniu, jak budynek rośnie, ale nie brak mi tego. Wprawdzie już jak miałem siedem czy osiem lat, wiedziałem, że zostanę architektem, ale myślę, że nie chodziło o budynki, ale o szansę kreowania zupełnie nowych światów, nowych sposobów życia. Myślę, że w momencie, gdy weźmiesz to pod uwagę, zaczyna się zmieniać cały twój system wartości. Dociera do ciebie, że budynki nie muszą być najważniejsze na świecie. Przeważnie są, bo kosztują. Ale gdy spojrzysz na stertę gałęzi i zdasz sobie sprawę, że dla zwierzęcia jest ona tak samo ważna jak dla ciebie budynek, wchodzisz na nowy poziom wyrafinowania. ■